

MODLISZ SIĘ O KONIEC. WIESZ, ŻE NIE NADEJDZIE.

# GRAHAM MASTERTON

## MARTWI ZA ŻYCIA

Thriller  
z Katie  
Maguire



# Rozdział 1

Gdy zataczając się, w kusej czarnej sukience i czarnych botkach na szpilkach, z oczami obwiedzionymi szkarłatnym cieniem i włosami ufarbowanymi na jaskrawą zieleń, wyszła z klubu Eclipse, od razu wiedzieli, że to właśnie jej szukali.

Dochodziła druga dwadzieścia pięć. Dziewczyna była kompletnie pijana i wyglądało na to, że jest sama. Przez chwilę grzebała w pomarańczowej jutowej torebce z aplikacją w kształcie wyszczerzonej złowieszco dyni. W końcu znalazła komórkę.

Stali oparci o wypucowanego czarnego opla po drugiej stronie Oliver Plunkett Street i palili. Nie od razu przeszli przez ulicę. Patrzyli, jak dziewczyna, marszcząc czoło, wpatruje się w telefon i dźgając ekran błyszczącymi, zielonymi paznokciami, klnie pod nosem, bo nie mogła uruchomić jakiejś aplikacji. Przez cały czas chwiała się na nogach, próbując utrzymać równowagę, i raz za razem poprawiała torebkę, która ześlizgiwała się z jej ramienia.

Milo zerknął na Garreta i uniósł brew. Obaj mieli na sobie obcisłe, czarne płaszcze, białe koszule i krawaty. Milo, z równo przyciętymi siwymi włosami i policzkami oszpeconymi dziurami po trądziku, był niski i krępy. Wyższy od niego Garret miał falistą, czarną grzywkę, która przywodziła na myśl złamane krucze skrzydło, zapadnięte policzki i cienki wąsik, który mieszkańcy Cork nazywają żartobliwie „brew-

ką”.

– Co ty na to, Gar? – spytał Milo.

Garret pstryknięciem posłał niedopałek na drugą stronę ulicy.

– Wstrzymajmy się chwilę, dobra? – odparł. – Może się okazać, że poprztykała się z facetem i gość wyjdzie, żeby błagać ją o przebaczenie.

Z klubu wysypało się kolejnych sześć, siedem młodych osób; wszyscy śmiali się, przeklinali i popychali się nawzajem. Jeden z chłopaków miał twarz pomalowaną na białą, jak wampir, z namalowanymi szminką kroplami krwi, które spływały mu po brodzie. Drugi był w masce mordercy z filmu *Krzyk*, odsuniętej na czoło. Towarzyszyły im dwie rudowłose siostry przebrane za wiedźmy w zwiewnych zielonych sukienkach i szczupła ciemnowłosa dziewczyna w postrzępionej białej pelerynie *bean-si*.

– Dokąd teraz, stary?! – zawołał jeden z chłopaków. – Impreza dopiero się rozkręca. Napiłbym się.

– Nie wiem – odparł jeden z jego kumpli. – Mówię ci, po cholerę jadłem to curry. Zaraz puszczę pawia.

– Tylko mnie nie obrzygaj. To nowe dzinsy.

Milo i Garret czekali, ale z baru nie wyszedł nikt, kto interesowałby się losem dziewczyny w czarnej sukience. Po minucie wodzenia palcem po ekranie telefonu w końcu udało jej się wysłać wiadomość. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki i stanęła przed wejściem do sąsiadującego z klubem sklepu meblowego J. Casey's, gdzie uczipiona czarnej metalowej kraty najwyraźniej na kogoś czekała.

Milo zerknął w lewo, jak gdyby chciał się upewnić, że nie nadjeżdża żaden samochód, i z rękami w kieszeniach przebiegł przez ulicę.

– Wszystko w porządku, skarbie? – zagadnął dziewczynę.

– Lepiej być nie może – odparła, nawet na niego nie patrząc.

– To super. Zastanawiałem się, czy nie potrzebujesz podwózki.

– Dzięki. Właśnie zamówiłam taksówkę na Hailo.

Milo uniósł brew.

– Jak chcesz, skarbie. Chciałem się tylko upewnić, że nic ci nie jest. Wygląda na to, że nieźle zabalowałaś.

– Nie bardzo. – Dziewczyna przywarła do krat i choć wciąż unikała jego wzroku, Milo widział, że makijaż ma rozmazany, jakby płakała.

– Daleko mieszkasz? – Nie odpuszczał.

– W Knocka. Ale to nic. Taksówką jedzie się tam kilka minut.

– Jasne. Spoko. Ale sam zaraz wracam do domu, do Gurra, więc mógłbym cię podrzucić. Nie wezmę kasy i możemy jechać choćby już, żebyś nie musiała czekać.

Kiedy w końcu na niego spojrzała, w oczach miała łzy. Nawet pod rozmazanym makijażem widać było, że jest ładna. Miała szeroko rozstawione, brązowe oczy, lekko zadarty nos i pełne usta. Z rękami w kieszeniach wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej, jakby nie obchodziło go, czy przyjmie jego propozycję, bo najzwyczajniej w świecie chciał być miły.

Dziewczyna zatoczyła się lekko i obiema rękami uchwyciła kratownicy.

– Sama nie wiem – bąknęła i Milo miał wrażenie, że zaraz odmówi. W tej samej chwili z klubu wyszło dwoje młodych ludzi: wysoki, barczysty chłopak w filcowym kapełuszu i pasiastym, czerwono-zielonym swetrze Freddy’ego z *Koszmaru z ulicy Wązów*. Trzymająca go pod rękę blondynka z kręconymi włosami miała na sobie czerwony spandexowy kostium z przyczepionymi do pleców ogromnymi, czerwonymi, pierzastymi skrzydłami i sterczącymi z głowy dwoma czerwonymi rogami – anioł z piekła rodem.

Na widok dziewczyny w czarnej sukience stojącej w drzwiach do J. Casey’s chłopak w kostiumie Freddy’ego

odwrócił się plecami, przyciągnął do siebie anielicę w czerwieni i ostentacyjnie ją pocałował.

Ta w czerni wydała z siebie gardłowe miauknięcie jak porzucony kociak. Chłopak kolejny raz pocałował swoją towarzyszkę, ukradkiem zerkając w stronę sklepu, jak gdyby chciał mieć pewność, że stojąca przed nim dziewczyna wszystko widzi. Właśnie w tym momencie odwróciła się w stronę Milo i powiedziała:

– Dobra, jak chcesz, możesz odwieźć mnie do domu. Killiney Heights. Wiesz, gdzie to jest?

– Jasne. Chodźmy. Daj mi rękę. Nie chcesz chyba przewrócić się na środku ulicy i zrobić z siebie widowisko.

Zaprowadził ją do opla i otworzył tylne drzwi. Kiedy wgramoliła się na tylne siedzenie, okrążył samochód i wsiadł od drugiej strony. Garret siedział już za kółkiem; w lusterku wstecznym widać było tylko jego ciemne oczy, jak gdyby dryfowały w powietrzu.

– Jestem Milo, a to mój kumpel, Gar – dokonał pospiesznej prezentacji Milo. – A ty, słonko, jak masz na imię?

Dziewczyna szlochała bezgłośnie. Lewą ręką zakrywała połowę twarzy – jak klapką na oczy dla konia – żeby nie oglądać Freddiego, który nadal całował się z anielicą.

– Siobhán – rzuciła żałośnie.

– Co cię tak smuci, Siobhán? Chodzi o tego kolesia w pasiastym wdzianku? Tego, co to obściskuje tę skrzydlatą niunię?

– To mój chłopak – odparła. – To znaczy mój były chłopak. A ta szmata to moja najlepsza kumpelka, Clodagh.

Garret zerknął przez ramię.

– Chcesz, żebym podszedł do niego i spuścił mu łomot? – spytał schrypniętym głosem.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie. To tylko pogorszy sprawę. Proszę, po prostu zawieźcie mnie do domu. Killiney Heights, niebieski dom na samym końcu, obok boiska.

– Nie ma sprawy. – Garret uruchomił silnik i zjechał z krawężnika. Na końcu Oliver Plunkett Street, zanim skręcił w lewo w Grand Parade, zerknął w lusterko i zobaczył, że taksówka, którą Siobhán zamówiła na Hailo, zatrzymuje się przed wejściem do klubu. Uśmiechnął się pod nosem, ale się nie odezwał.

– Ten koleś to jakiś palant – zauważył Milo. – Spójrz tylko na siebie... wyglądasz dużo lepiej niż ta twoja tak zwana przyjaciółka. Facet na ciebie nie zasługuje, skoro nie możesz mu ufać. Uwierz mi.

Siobhán nie odpowiedziała; grzebała w torebce w poszukiwaniu zmiętej chusteczki, żeby wytrzeć oczy i wysmarkać nos.

Przejechali Patrick's Bridge nad rzeką Lee. Pod jedną z ulicznych latarni grupka dzieciaków paliła papierosy, hałasowała i przekazywała sobie z rąk do rąk butelkę cydru.

Na drugim brzegu rzeki, zamiast skręcić w lewo i jechać wzdłuż wałów w kierunku Knocknaheeny, Garret pojechał prosto w górę stromej Bridge Street, a następnie odbił w prawo w MacCurtain Street, tak że zamiast na zachód, kierowali się na wschód.

– Dokąd jedziemy? – spytała Siobhán. – Knocka jest w tamtą stronę.

– To skrót – wyjaśnił Garret.

Odpowiedź uspokoiła ją na chwilę, ale kiedy skręcili w Summerhill, w stronę St Luke's Cross, dziewczyna pochyliła się do przodu i rzuciła bełkotliwie:

– Jedziemy w złą stronę.

– Mówiłem ci, to skrót – powtórzył Garret.

– Nie martw się, skarbie, Gar wie, co robi – uspokoił ją Milo. – Dzięki temu nie będzie musiał objeżdżać Szpitala Świętej Marii.

Siobhán opadła z powrotem na siedzenie, ale gdy Garret włączył kierunkowskaz, sygnalizując, że zamierza skręcić w Middle Glanmire Road, wyprostowała się i krzyknęła:



– Nie! To nie ta droga! Musisz zawrócić! Dokąd mnie wieziecie?

Milo położył rękę na jej ramieniu.

– Spokojnie, Siobhán, wyluzuj. Nic ci nie będzie. Gar musi odebrać parę rzeczy z Mayfield, zanim odstawi cię do domu, co nie, Gar?

– Taaa. Zapomniałem je zabrać. Czasem mam wrażenie, że zapomniałbym własnej dupy, gdyby nie to, że mam ją na stałe.

– Odwieźcie mnie do domu – zażądała dziewczyna, strzepując z ramienia rękę Milo. – Mam gdzieś, czego zapomniałeś. Nigdzie z wami nie jadę. Odwieźcie mnie.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł Milo. – To jedna z tych podróży, które raz rozpoczęte należy doprowadzić do końca. Trochę jak z życiem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– O czym ty gadasz?

– Tylko pomyśl. Kiedy już przyjdiesz na świat, możesz stwierdzić, że niespecjalnie ci się tu podoba, ale przecież nie możesz wrócić do mamusinej cipki, co?

– Zatrzymaj samochód! – wrzasnęła. – Zatrzymaj i mnie wypuść!

Szarpnęła rozpaczliwie za klamkę, ale Garret włączył blokadę drzwi. Odwróciła się i zaczęła okładać Milo pięściami. Jej bransoletki podzwaniały, kolczyki kołysały się jak szalone. Milo parsknął szczekliwym śmiechem, chwycił ją za nadgarstki i ścisnął tak mocno, że nie była w stanie poruszyć rękami.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie – w oczach Siobhán czaił się lęk i zdumienie, podczas gdy oczy Milo były wyprane z emocji, szarozielone, niemal pozbawione koloru i tak beznamienne, że równie dobrze mogłyby być ze szkła.

– Proszę, Milo, wypuść mnie – zaczęła błagać. Starła się mówić wolno i wyraźnie, chcąc ukryć, jak bardzo jest pijana. – Zadzwoń po taksówkę, mogę nawet iść pieszo, jeśli nie chcecie, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie byłam.

– Iść pieszo? Ledwie trzymasz się na nogach. Poza tym

jesteśmy prawie na miejscu.

Siobhán, mrużąc oczy, wyrzała przez okno. Widziała jedynie szary kamienny mur, który ciągnął się wzdłuż Middle Glanmire Road i żywopłoty. Minęli pomalowany na kremowo hotel Montenotte z flagami i reflektorami i zaraz potem wjechali w wąską ulicę biegnącą między murami.

Pięćset metrów dalej Garret zwolnił i wjechał na opadający gwałtownie podjazd. Oczom Siobhán ukazał się duży, szary dom, na którego ścianach lata wilgoci pozostawiły zielonoczarne plamy. Budynek pogrążony był w mroku, jeśli nie liczyć światła na ganku i drugiego, w pokoju na piętrze, w oknie bez firanek. Ogród tonął w ciemności. Z trzech stron otaczał ich wysoki na sześć metrów, cisowy żywopłot, więc Siobhán zobaczyła jedynie dachy i kominy sąsiednich domów.

Przed budynkiem stała tabliczka z namalowanym napisem: *Klinika Świętego Idziego*. Garret podjechał z boku domu i zatrzymał samochód.

– Wypuście mnie teraz? – spytała Siobhán.

– Myślałem, że chcesz, żeby podrzucić cię do domu – odparł Milo.

– Tak, ale już nie chcę. Chcę tylko, żebyście mnie wypuścili.

– No dobrze, skoro się upierasz. Gar wpadł tutaj, żeby zabrać kilka rzeczy, ale jeśli naprawdę nie chcesz, żebyśmy odwieźli cię do Knocka...

– Nie chcę. Wypuście mnie.

Obaj wysiedli z samochodu. Milo otworzył tylne drzwi, żeby ją wypuścić, i czekał cierpliwie, aż dziewczyna weźmie torebkę i wygramoli się z opła.

Zaczynała już trzeźwieć, bo kiedy w końcu stanęła na nogi, zawołała:

– Chryste, przysięgam na Boga, nie mam pojęcia, co za chorą grę prowadzicie!

Milo wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco, nie powiedział jej jednak, że jego kumpel stoi tuż za



nią z uniesionym nad głową młotkiem. Nie przestawał się uśmiechać, kiedy młotek z głuchym łupnięciem trafił dziewczynę w lewą skroń. Uskoczył w bok, gdy Siobhán zatoczyła się do przodu i runęła twarzą na asfaltowy podjazd.

– Nieźle, stary – rzucił z uznaniem. Chwilę później pochyłili się i odwrócili dziewczynę na plecy. Była nieprzytomna, lecz oczy miała na wpół otwarte, a jej powieki drżały. Zawartość torebki wysypała się na ziemię. – Ale jej przywaliłeś. Nie zdziwiłbym się, gdyby miała uszkodzony mózg i doktorek mógłby sobie darować te swoje brednie.

– To kurewsko ciężki młotek – odparł Garret. – Kupiłem go przedwczoraj w Hickey’s. Poprzedni był za lekki. Musiałem walić je kilka razy, zanim traciły przytomność.

Milo chwycił Siobhán pod ramiona i ostrożnie zaczął ją wlec po ziemi. Puścił ją, kiedy leżała na podjeździe z kolanami za tylnym kołem od strony kierowcy.

Chwilę później zadarł głowę i zobaczył mężczyznę stojącego w oknie na piętrze; w oświetlonym pokoju jego sylwetka była widoczna jak na dłoni. Milo nie pomachał mu ani nie dał znać, że go zauważył. Wiedział, że tamten i tak nie odpowie. Nie było go tam i nigdy się nie przyzna, że widział, co ci dwaj zrobili dziewczynie.

Garret zapalił papierosa i wrócił na siedzenie kierowcy. Milo odsunął się, ale niezbyt daleko, na wypadek gdyby Siobhán odzyskała przytomność i postanowiła pokrzyżować im plany. Jego kumpel uruchomił silnik, ale nie zamknął drzwi; chciał się wychylić i sprawdzić, czy cofa we właściwą stronę.

– Dobra, stary, wszystko gra – zapewnił go Milo i machnął ręką, pokazując, by się nie zatrzymywał.

Garret powoli najechał tylnym kołem na nogi Siobhán. Kości trzasnęły jak suche gałązki, a chwilę później rozległ się cichy chrzęst, gdy ważący dwie tony samochód zmiażdżył dziewczynie kolana.

## Rozdział 2

Cleona usiadła gwałtownie na łóżku.

– Eoin! – zawołała. – Posłuchaj psów! Coś je niepokoi! Eoin!

– Co? – mruknął rozespany Eoin. – O co chodzi?

– Psy, Eoin! Posłuchaj tylko!

Mężczyzna uniósł głowę znad poduszki. Szczekanie było niewyraźne, bo na zewnątrz padał deszcz, okno sypialni było zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Mimo to słyszał, że psy ujadają jak szalone. Nie przypominało to monotonnego szczekania, które znaczyło, że domagają się, by ktoś wyprowadził je na spacer, nakarmił albo napoił. To był wściekły jazgot spanikowanych zwierząt, który chwilami brzmiał jak wrzask przerażonych dzieci.

Eoin włączył lampkę nocną, odrzucił patchworkową kołdrę i wstał. Podeszedł do okna, rozsunął zasłony i wyżejając wzrok, spojrzał w ciemność. W mokrym od deszczu oknie zobaczył światło lamp na końcu dwóch rzędów bud i ich odbicie w mokrym asfalcie. Pomyślał, że może wybuchł pożar, ale nie widział ani nie czuł dymu.

Otworzył okno, żeby wyraźniej słyszeć psy; teraz już nie miał wątpliwości, że coś wyprowadziło je z równowagi. Rozpoznał przynajmniej dwa: Bulleta, młodego teriera

walijskiego, którego piskliwe ujadanie nie dało się pomylić z niczym innym, i gardłowe szczekanie Trippeta, labradora.

– Która godzina? – zapytał Cleonę, podchodząc do krzesła, na którym wisiały jego džinsy i brązowy sweter w war-kocze.

– Czwarta dwadzieścia – odparła. – Jak myślisz, co im jest?

– Zaraz zejdę i sprawdzę.

– Na litość boską, tylko uważaj na siebie. Nigdy nie wiadomo, co za typy kręcą się po okolicy. Zaczekaj chwilę, pójdę z tobą.

– Nie, skarbie, zostań. Zawołam, gdybym cię potrzebo-wał.

Eoin, przytrzymując się szafy, wsunął stopy w nogawki spodni, a następnie włożył sweter. Jego czarne, kręcone włosy sterczały na wszystkie strony. Oczy miał opuchnięte z niewyspania i łupało go w głowie. Wczoraj skończył trzydzieści osiem lat, a ponieważ urodził się trzydziestego pierwszego października, jak zawsze świętował na imprezie halloweenowej w Hurley's.

Zapalił światło na wąskich, stromych schodach, ale nie w korytarzu. Wątpił, by psy zaniepokoiło coś więcej niż drobny złodziejasek – jakiś gówniarz, który przyszedł zwinąć narzędzia albo rowery. O tej porze nawet bardziej prawdopodobne, że to lis grzebał w śmietniku. Jeśli w pobliżu domu kręcił się jednak ktoś podejrzany, Eoin chciał go zaskoczyć; wołał nie stawać w drzwiach, oświetlony i widoczny jak na dłoni. Hotel dla psów Sceolan znajdował się na uboczu. Był oddalony przeszło kilometr od najbliższego domu i ponad cztery kilometry od najbliższej wioski, Ballinspittle, nic więc dziwnego, że Eoin dbał o bezpieczeństwo.

Zanim otworzył drzwi wejściowe, wyjrzał przez półokrągłe okienko, nadal jednak nie widział niczego poza mrokiem, deszczem i światłem dwóch lamp. Wsunął bose stopy w ka-

losze, sięgnął po jesionowy kij do hokeja na trawie, który trzymał w stojaku na parasole, i wyszedł na dwór. Wiał zimny, porywisty wiatr i choć rynny nadal pluły wodą, deszcz powoli ustawał. Psy nie przestawały czekać i idąc w stronę kojców, Eoin pomyślał, że ujadają teraz jeszcze bardziej zaciekle. Marcus, rodowodowy labrador, zawył upiornie jak pies Baskerville'ów.

Kiedy Eoin dotarł do stojących naprzeciw siebie dwóch rzędów kojców, zrozumiał, co tak bardzo rozjuszyło psy. Co najmniej siedem boksów na końcu lewego rzędu stało otworem. Widząc to, puścił się biegiem, jeszcze mocniej zaciskając palce na drewnianym kiju. Drzwi do klatek były zaopatrzone w alarmy, które osobiście włączał każdego wieczoru. Ktoś jednak najwyraźniej znalazł sposób, żeby doprowadzić do zwarcia.

Zobaczył intruzów przy pierwszych otwartych drzwiach. Na prowadzącym do drogi podejździe stały srebrny range rover i biała furgonetka, zaparkowane tak, by nie było ich widać z okien domu. Dwóch mężczyzn siłą ciągnęło w stronę furgonetki Cezara, owczarka niemieckiego, podczas gdy trzech innych wracało w stronę kojców.

Eoin zatrzymał się, oburącz ściskając kij.

– Hej! – wrzasnął. – Co wy, do cholery, wyprawiacie?!

Żaden z trzech mężczyzn się nie odezwał. Szli dalej jak gdyby nigdy nic i zatrzymali się pięć metrów od niego. Dwaj z nich mieli na sobie czarne wiatrówki i szaliki, które nosili jak dżihadyści, naciągnięte na dolną część twarzy, więc Eoin widział tylko ich oczy. Trzeci był ubrany w długi, szary płaszcz przeciwdeszczowy, związany w taliu paskiem. Miał zaczesane do tyłu siwe włosy i urodę podstarzałego aktora. Gdy mówił, żar papierosa, którego trzymał w ustach, kołysał się w górę i w dół, jak gdyby dla podkreślenia każdego słowa. Jego łagodny głos z lekkim akcentem ze Sligo, był ledwie słyszalny pośród wściekłego ujadania psów.

– Przepraszamy za najście, proszę pana! Jak widać, chcemy tylko odciążyć pana od nadmiaru obowiązków.

– I dlatego kradniecie moje psy?

Zmarszczki na czole mężczyzny w płaszczu utworzyły V.

– Ależ skąd. To nieuprzejme mówić w ten sposób. Gdybym był złodziejem, poczułbym się urażony. Tymczasem odpuśćmy sobie dyskusję o języku i może lepiej nie mówmy nic, bo jeszcze któryś z nas mógłby powiedzieć za dużo. Proponuję, żeby wrócił pan do domu i pozwolił nam skończyć.

Pozostali dwaj mężczyźni zamknęli drzwi furgonetki i dołączyli do swoich towarzyszy. Poza człowiekiem w szarym płaszczu żaden z nich się nie odzywał, ale i nie musieli. Stojąc w lekkim rozkroku z rękami w kieszeniach wiatrówek, dawali jasno do zrozumienia, że jeśli Eoin będzie próbował ich powstrzymać, pobiją go do nieprzytomności.

Psy najwyraźniej wyczuwały napięcie, bo nie tylko nie przestawały czekać, ale ich ujadanie przybrało na sile, odbijając się echem od wąskiego przejścia między budami. Eoin czuł się równie bezsilny jak one. Jakie szanse ma jeden człowiek przeciwko pięciu, nawet jeśli jest uzbrojony w ważący siedemset gramów kij? Oni pewnie mieli przy sobie noże; może nawet broń palną.

W szafce w jadalni trzymał strzelbę. Dlaczego nie pomyślał, żeby wziąć ją ze sobą? Czy ojciec nie powtarzał mu do znudzenia: „W życiu zawsze bądź gotów na najgorsze, chłopcze, bo wcześniej czy później najgorsze nadejdzie”? Zmarł na raka płuc w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

– W porządku – rzucił Eoin. Starał się zachować spokój, ale miał wrażenie, że wykuta z lodu niewidzialna pięść zaciśka się na jego trzewiach. – Wygląda na to, że nie mam wyboru. Proszę tylko, żebyście traktowali te psy przyzwoicie i dobrze się nimi opiekowali.

Mężczyzna w szarym płaszczu posłał mu krzywy uśmiech.

– Chyba nie sądzi pan, że pozwolę panu wrócić samemu do domu. Zaraz zadzwoniłby pan po gliniarzy. Nie. Dwóch

moich ludzi pójdzie z panem, a reszta dokończy robotę i zabierze to, po co przyjechaliśmy. A... i proszę zostawić ten *camán*. Chyba nie chce pan zrobić nikomu krzywdy.

Po chwili wahania Eoin cisnął kij na ziemię. Jeden z mężczyzn podniósł go i zarzucił na ramię jak strzelbę.

– Co zamierzacie zrobić z psami? – Eoin zwrócił się do mężczyzny w szarym płaszczu. – Chyba nie zamierzacie wystawiać ich do walk.

– Ależ skąd! To piękne psy, rasowe. Proszę mi wierzyć, trafią do domów, gdzie będą rozpieszczane. Prawdopodobnie będą jadły i mieszkaly lepiej niż ja czy pan.

Eoina korciło, żeby powiedzieć coś w stylu „Nie ujdzie wam to na sucho”, ale wiedział, jak kiepsko to zabrzmiałoby; poza tym było całkiem możliwe, że ujdzie im to na sucho. Policja miała na głowie znacznie poważniejsze sprawy niż ugania się za złodziejami psów.

Wrócił do domu w asyście dwóch mężczyzn, z których jeden niósł jego kij.

– Posadź tyłek w salonie, kolego, i nie próbuj robić żadnych głupstw – ostrzegł jeden z nich, kiedy weszli do domu; szalik tłumiał jego głos.

Eoin posłusznie udał się do pokoju i zapalił światła. Psy nadal ujadaly, i modlił się, żeby Cleona nie usłyszała, że wrócił, i nie zeszła go szukać.

Usiadł na skraju białej kanapy ze sztucznej skóry, podczas gdy jeden ze złodziei rozsiadł się w fotelu przy kominku. Facet z kijem stanął za Eoinem, gotowy walnąć go w tył głowy, gdyby zrobił jeden fałszywy krok.

– A więc co zamierzacie zrobić z naszymi psami? – powtórzył Eoin.

Złodzieje milczeli, choć ten, który siedział w fotelu, raz i drugi pociągnął głośno nosem. Szalik nadal zasłaniał połowę jego twarzy; widać było jedynie oczy.

– Po co wam one, jeśli nie wystawicie ich do walk? Do hodowli? Na wyścigi? Chcecie je sprzedać, udając, że są wa-



sze? Wszystkie są zaczipowane i zarejestrowane, ale pewnie o tym wiecie.

Mężczyźni milczeli. Obaj cuchnęli zatęchłym dymem papierosowym, a ten, który czał się za plecami Eoina, używał jakiegoś mocnego, taniego dezodorantu.

– Chyba nie będziecie się nad nimi znęcać? – ciągnął Eoin. – Do tego wystarczyłby wam jakiś stary kundel. To psy z rodowodem. W lesie zdechną z zimna.

– Stul gębę, dobra? – rzucił ten za nim.

– Myślę tylko o psach.

– To, kurwa, pomyśl o czymś innym. Łeb mi pęka od twojego gadania.

W tej samej chwili w sypialni na górze skrzypnęła podłoga. Złodzieje też to usłyszeli, bo zadarli głowy, a ten, który siedział w fotelu, pociągnął nosem i warknął:

– Kto jest na górze? Twoja żonka?

– Zostawcie ją w spokoju – odezwał się Eoin.

– Pod warunkiem że będzie grzeczna.

Chwilę później usłyszeli głos Cleony:

– Eoin? Eoin, co ty tam robisz na dole? Psy szczekają, jakby się wściekły! Co tam się dzieje?

– Powiedz jej, że wszystko jest w porządku, i każ wracać do łóżka – poinstruował go ten z kijem.

Widząc, że Eoin się waha, szturchnął go kijem w ramię.

– No już, gadaj – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Eoin odchrząknął i zawołał:

– Wszystko w porządku, Cleono! To tylko lis! Za chwilę się uspokoją!

– Co robisz na dole? – zapytała po chwili milczenia. – Nie idziesz na górę?

– Zaraz przyjdę! Muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy!

Tym razem nie czekali długo na odpowiedź.

– Jakie rzeczy? Jak tak dalej pójdzie, zanim przyjdziesz do łóżka, trzeba będzie wstawać!

– Mówilem, Clee! Zaraz przyjdę!

Podłoga znów skrzypnęła, kiedy Cleona wracała do łóżka. Chwilę później dom pogrążył się w ciszy, którą od czasu do czasu mąciło stłumione pociąganie nosem.

Pięć minut później podłoga nad ich głowami znowu zakrzypiała. Tym razem Cleona nie zawołała, ale postanowiła zejść na dół.

– Nie schodź tu, Clee! – krzyknął Eoin głosem schrypniętym ze zdenerwowania. – To nie potrwa długo, obiecuję! Wracaj do łóżka, skarbie! Proszę!

Ale ona, ubrana w krótką koszulę nocną w różyczki, stanęła w drzwiach. Jasne włosy miała w nieładzie. Widząc dwóch obcych mężczyzn, zamrugwała.

– Co się dzieje? – spytała. – Kim są ci ludzie? Eoin? Co tu się dzieje?

– Skoro już zeszłaś, skarbie, usiądź sobie – odezwał się człowiek z kijem. – Nie zabawimy tu długo. Musisz tylko usiąść i trzymać głowę na kłódkę.

– Kim jesteście? – zażądała wyjaśnień. – Jak śmiesz tak się do mnie odzywać? Eoin... co ci ludzie robią w naszym domu?

– Głucha jesteś, paniusiu? – warknął ten z kijem.

– Dzwonię na policję – oświadczyła Cleona.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów, ale mężczyzna siedzący przy kominku zerwał się z fotela i wybiegł za nią. Była w połowie schodów, kiedy dogonił ją i chwycił za prawą kostkę. Cleona straciła równowagę i runęła w dół, uderzając łokciem o słupek poręczy, a głową o ścianę przy drzwiach wejściowych.

Mężczyzna pochylił się nad nią, chwycił ją pod rękę i pomógł jej wstać. Wrywała się, ale złapał ją za koszulę na karku i wymierzył jej siarczasty policzek.

– Auuuu! – wrzasnęła, bardziej z wściekłości niż z bólu. Próbowwała mu oddać, lecz uderzył ją po raz kolejny, tym razem mocniej, i zawlókł z powrotem do salonu.

– Puszczaj! – krzyknęła. – Puść mnie, ty draniu!

– Zostaw ją! – Eoin zerwał się z kanapy.

Rzucił się na mężczyznę, który pchał przed sobą Cleonę, ale drugi zbir okrążył kanapę, zamachnął się kijem i uderzył go w tył głowy. Eoin upadł na stół, przewracając lampę, zegar i sześć oprawionych w ramki zdjęć, na których oboje z Cleoną pozowali razem z psami.

Rozhisteryzowana kobieta krzyknęła, ale mężczyzna, który trzymał ją za kark, jedną ręką zakrył jej usta, a drugą chwycił za włosy.

– Zamknij się, kurwa – wycodził przez zaciśnięte zęby – albo rozwalę ci ten pieprzony łeb!

Zamroczony Eoin wciąż nie podnosił się z podłogi. Ten z kijem stał nad nim, gotów znów go uderzyć, ale Eoin ani drgnął.

– Widziałeś? – rzucił triumfalnie zbir. – Powinienem grać dla Barrs!

Jego towarzysz pchnął Cleonę na kanapę. Przestała krzyczeć, ale szlochała głośno i zalewała się łzami. Jej koszula nocna podwinęła się z jednej strony, odsłaniając biodro. Próbowwała skrzyżować nogi i obciągnęła materiał, żeby się zakryć, ale mężczyzna wymierzył jej dwa potężne ciosy. Twarz miała opuchniętą i zaczerwienioną, a sygnet, który jej oprawca nosił na palcu, pozostawił na lewym policzku niewielkie siniaki.

– Nawet, kurwa, nie próbuj ze mną walczyć, laluniu, bo się doigrasz!

Zadarł jej koszulę, chwycił materiał obiema rękami i rozdarł go aż po samą szyję. Cleona dwukrotnie próbowała podnieść się z kanapy, ale pchnął ją z powrotem, chwycił za gardło i zamachnął się, pokazując, że jeśli będzie trzeba, znowu ją uderzy.

Nadal trzymając ją za szyję, wolną ręką rozpiął wiatrówkę, pasek spodni i guziki džinsów.

Mężczyzna z kijem stał oparty o kominiek i obserwował swojego towarzysza. Cleona z trudem chwytała powietrze,

lecz nie walczyła już i nawet nie próbowała się zakryć. Spoglądała w sufit, jak gdyby wyobrażała sobie, że jest gdzieś indziej i cała ta sytuacja nie dzieje się naprawdę.

– Patrzcie, patrzcie! Masz całkiem niezłe cyczuszki, kochanie! – Zbir puścił szyję Cleony i chwycił jej duże piersi. Zaczął je ugniatać, ścisnął brodawki między palcem wskazującym a kciukiem, szczypał je i szarpał. – Przysięgam, gdybym był twoim starym, oka bym nie zmrużył. Całą noc bawiłbym się tymi bimbałami! – Chwilę później spuścił wzrok. – Ale co do cipy, nie jestem już taki pewny! Nijak, kurwa, nie pasuje do reszty! Na górze cycki jak się patrzy, a na dole ciemno jak w piwnicy!

– Daj spokój, Keeno, z braku laku dobry kit – odezwał się jego towarzysz. – Pokażesz jej swoją parówkę, czy będziesz tak stał? Michael i reszta zaraz skończą ładować psy.

Keeno sięgnął do spodni i wyciągnął sterczącego penisa. Był krótki, ale nabiegła krwią żołądź miała iście barokowy kształt, niczym kask naszkicowany ręką samego Leonarda da Vinci. Mężczyzna siłą rozłożył uda Cleony i brudnymi palcami rozchylił jej wargi sromowe.

– A niech mnie! – prychnął zza szalika. – Widziałeś, żeby któraś była taka mokra? Pewnie aż się pali, żeby ją zerznąć!

Niezdarnie wgramolił się na kobietę i wbił się w nią aż po materiał spodni. Kiedy się poruszył, wydała z siebie cichy jęk, który przywodził na myśl rzenie żrebaka. Jej ramiona i nogi zadrżały i zwiotczały. Milcząca i nieruchoma, leżała na kanapie, podczas gdy Keeno poruszał się w niej, sapiąc, pociągając nosem i miotając przekleństwa.

Psy przestały szczeleć i w całym domu słuchać było jedynie skrzypienie kanapy i miarowe plaskanie ciała o ciało. Towarzysz Keeno wetknął kij pod ramię i marszcząc brwi, wpatrywał się w ekran telefonu. Cleona zamknęła oczy. Jej piersi kołysały się przy każdym pchnięciu, a z gardła od czasu do czasu wyrywał się stłumiony jęk i gdyby nie to, można by pomyśleć, że nie żyje.